Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 39.** Leszno, dnia 1. Kwietnia 1837.



Zamek rakowiecki.

Zamek rakowiecki leży na prawym brzegu Dniestru, w obwodzie kołomejskim, w Galicyi. Skała, na któréj się wznoszą jego rozwaliny, składa się z ogromnych głazów, okrytych bluszczem i mchem, a w środku jéj rozpadliny wytryska źródło i spływa nakształt wodospadu do czystych nurtów szumnego Dniestru; nad zamkiem wznosi się ogromna góra, daléj skały lasami pokryte, a na dole piękna wieś Rakowiec, własność W. Dwernickich. Pomiędzy zamkiem i wsią jest drugi większy wodospad, którego widok zachwyca i czaruje oko.

Zamek ten, jak świadczy napis wyryty na białéj tablicy marmurowéj, znajdującéj się nad zwaliskami bramy, stawiał Olbrecht z Bieniewic Bieniewski, podczaszy ziemi halickiéj, roku 1660, ku obronie ojczyzny i bezpieczeństwu przyjaciół w wojnach domowych i postronnych. Napis ten jest następującéj treści:

Magnis auspiciis meliori fortuna bono exiit Magnificus et Generosus Dom. Olbrechtus de Bieniew c Bieniewski Pocilator Terrae Haliciensis hoc opus universum propriis sumptibus sevictibus pro tunc patria domesticis et exoticis bellis ad Dei gloriam defensionem patriae, conservationem amicorum extruxit. Anno Domini 1660.

Daléj znajduje się już napis zatarty i tylko te litery wyczytać mogłem:

ione catholica Turcarum Tatarorumque.

Podanie o tym zamku jest następujące. Pod panowaniem Jana III. oblegli go Tatarzy i rozłożyli się z taborem na panującéj górze nad zamkiem. Bieniewski broniąc się walecznie z zgromadzoną z okolic szlachtą i wieśniakami, odparł kilka natarczywych szturmów, lecz nareście gdy brak żywności dał się uczuć oblężonym, zaczęto powątpiewać o dalszym odporze, i już chciano poddać się Tatarom. Wtém pewien

szlachcic, którego imię zaginęło w niepamięci, poświęcając się dla dobra ogólnego, spuścił się w nocy po linie z przepaścistéj skały, przepłynął szczęśliwie na drugą stronę Dniestru, a znalazłszy w Czernelicy obóz polski, uwiadomił o bliskiém poddaniu się zamku dla braku żywności, tudzież, że upojonych trunkiem Tatarów łatwo w nocy napaść i rozproszyć można, tém bardziéj, gdy tylko zamek ich straże okrążają, a ze strony drogi czortowieckiéj żadnych czatów stawiać nie zwykli. Nazajutrz, z przyjściem nocy, przeprawiło się wojsko polskie w milczeniu za Dniestr, i natarło na nieprzygotowanych i uśpionych Bisurmanów, w téj saméj chwili, gdy Bieniewski z zamku wycieczkę uczynił. Trwała zacięta walka noc całą, dopiero o świcie przeważyło się zwycięztwo na stronę hufców polskich: jassyr, niezmierne plony, stały się własnością zwycięzców, a dotychczas istniejące nad zamkiem mogiły przekonywają o wielkiéj porażce Tatarów. Tak tedy poświęceniem się jednego, zostały ocalone życie, sława i majątek obłężonych.

Wstęp do tego zamku był broniony głęboką fossą i dwoma czworobocznemi basztami, między któremi znajduje się brama i ślady zwodzonego mostu. Po lewéj ręce bronił go mur wysoki i ośmgraniasty zewnątrz, a dwóboczna wewnątrz baszta; wśrodku były stajnie, piwnice, i źródło przezroczystéj wody; po prawéj ręce na pierwszém piętrze mieszkania, których duże okna rzędem się ciągną; na dole skały, niżéj prochownia i magazyny; a niedostępna skała, jedna trójgraniasta, druga czworograniasta baszta, broniły kurtyny, w któréj miało być mieszkanie Bieniewskiego. W tyle zamku, nad urwiskiem skały, znajdowała się kaplica z cudownym obrazem N. Panny, którą dotychczas w rakowieckiéj cerkwi widzieć można. Zamek ten został zniszczonym w rozruchach roku 1760.

Święcone wielkanocne.

(Dokończenie.)

Mięsiwo miało cudną powłokę z tłuszczu, w różową barwę wpadającą. Pomiędzy temi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. — Poncyusz Piłat wyjmował kiełbasę z kieszeni Mahometowi, a wiadomo, że Żydzi i Turcy nie jedzą wieprzowiny, więc to na nich epigrama było pocieszne. Na samym środku stołu, stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnéj owieczki; ale jabych za cały stół rad był wziął jemu oczy, a wszakoż to były dwa brylanty, jak laskowe orzechy, w czarnéj oprawie, alias, pierścienie ukryte w maśle, których tylko tyle widać było, ile potrzeba na okazanie oczu. Tego baranka, na którym wełna maślana nie do poznania była od prawdziwéj, robiła sama Imci panna Agnieszka z rodzicem swoim. Pan Hetman długo mu się przypatrował; ale co tam u niego znaczą brylanty? kiedy sam ich ma pełną rękojeść u karabelli; tylko go robota cieszyła, że mało jadł, tylko weń patrzał, i na Imci pannę Agnieszkę. Stary kilka razy poprawił karabelę, co znaczy u nas że kontent, i pełen afektu. — Daléj tedy stały bańki srebrne wyzłacane z octem, oliwą i cztery krużе (dzbany) wielkie starego miodu, na tacach srebrnych wyzłacanych, obstawione czarami także wyzłacanemi. Daléj srebrne łódeczki z konfektami wszelakich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał, a to wszystko smażone przez Imci pannę Agnieszkę na jesieni; bo to śliczne pieścidełko podobne jest do pszczółeczki, co zawczasu opatruje się na wszelakie przygody. Stało też wino w gąsiorkach prawda szklanych, ale te gąsiorki stały w koszykach srebrnych wyzłacanych, a główki miały śrubowane w zawój srebrny, a szkło białe jak śnieg, i gładkiéj bardzo roboty.

Pomijam inne drobniéjsze tylkose [?] rzeczy, aza już czas przystąpić do najważniéjszych, które i Wasze Saluniu niemało sobie lubujesz, to jest: do kołaczów, placków, jajeczników, maczniczków i Bóg spamięta ich miana, tych cudaczków rozmaitych, które okrążały jeden najpoważniéjszy kołacz. Kołacz ten był owałowy, cyrkumferencyi z ośm łokci, jeśli niewięcéj; gruby na dwie piędź, a jakieśmy tylko weśli do izby, to nam już zapachniał swojemi przyprawami. Po brzegach w koło niego stały różne figurki: święci dwunastu apostołowie, udani jak żywo; a to wszystko z ciasta; Judasz mnie bardzo zabawił. Przypominasz sobie Wasze Saluniu owego pana Giełbatowskiego, owego to bezecnego roztrucharza, co mi za moją klacz źrebną dawał ślepego podjezdka! a sumitował się Bogiem, że niema żadnego defektu, i całował mię. Takutyńki rudowąs i szafraniec. — W środku stał Zbawiciel nasz, Pan Jezus Chrystus, z chorągiewką, a nad nim unosił się anioł na druciku u szabaśnika izdebnego nieznacznie w górze zawieszony, i że zdawało się jakoby leciał po niebie, i z gęby wychodziły mu słowa: „Resurrexit sicut dixit! Alleluja!“ Inne placki wyobrażały tylkose zjawiska. — Zabawiła mię kąpiel, bo to był taki jeden placek, co miał w środku sadzawkę z białego miodu, i wyglądały z niéj rybki i nimfy kąpiące się, a Kupid strzelał do nich z łuku; ale zamiast w serca, to im bezecnik, panie odpuść, mierzył w śliczne oczka, które zasłaniały sobie od wstydu. Robota tego była bardzo sztuczna, że tak rzekę: nic podobnego nie zdarzyło mi się widzieć i u wielkich panów.

Zaczęło się tedy, po zmówieniu zwyczajnych modlitew, pożywanie daru bożego. — Imć pan Hetman, bardzo, jako wyżéj powiedziałem, ochoczy, prosił, aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. — Jadł wszystkiego po trochu, i napił się miodu; wina niechciał, mówiąc: „Bodajśmy go nieznali; dużo nam szkodzi ten tru-

nek!" Zapłonił się na te słowa Imć pan Chroberski, bo mu dał poznać, że zbytek nie chlubą dla nas; a i sprawiedliwie. — Potém Imć pan Hetman podał święconego jajka każdemu, zacząwszy bez ogródki od Imci panny Agnieszki, która się także zaczerwieniła, i podziękę skromną zrobiwszy, zjadła.

„My, jak się Wasze dorozumiesz, czekalichmy z wielką estymą, aż Imć pan Hetman pozwoli nam przysunąć się bliżéj do stołu, co téż nastąpiło, bo niedługo rzekł: „Używajcie Waszmość panowie hojności gospodarza, a skromnie i honeste; sam zaś pokłoniwszy się i znowu pannę Agnieszkę pocałowawszy w czoło, i powiedziawszy jéj: żeby swoje wdzięczne lica ukrywała przed królem Imcią, pożegnał wszystkich łaskawie, i odjechał na zamek. Tu my dopiero zaczelichmy repetować co daj Boże. Miód i kołacz najgorzéj trzeszczał. Zapomniałem Waszeci powiedzieć, że w nim było sera ze trzy kamienie, miodu tyleż, innych przypraw nie liczę, dziwnie smaczny. Pan Sniatycki tak jadł, że się ledwie nie dawił.

Aż też przyszły żaki z oracyami, Boże odpuść, pełnemi banialuk, że ich zesłuchać niemożono, które im xięża Dominikanie nabazgrali. Głodomory te straszliwie się oblizowały, ale też nie na sucho odeszli. Każdy z nich dostał po całym bochnie chleba, po garnuszku praśnego miodu, po kawałku plus minus półłokciowym wędzonéj twardéj kiełbasy z gorczycą; po kromie udzca wieprzowego, opieprzone jak Bóg przykazał. Pan Ocieski Kazimierz śmiał się jak opętany z jednego pacholika, co był przebrany za Piłata, miał brodę z konopi, a brwie nad oczyma ze mchu brzozowego. Pan Milecki powinował Imci pana Hetmana, że miasto na święcone, to na Imci pannę Agnieszkię wielki mark robił, tak, jakby ją chciał zjeść; godnie w tym naśladuje Imć pana Hetmana, żeby tak we wszystkim!

W otwartości, szczerości i affekcie staropolskim, odbyliśmy tę na chwałę opatrzności pana Boga katolicką biesiadę; każdy pożył, co chciał; nikt nie zalał, ale przy wesołem Alleluja! rozeszlichmy się, i dosiadłszy koń, w imię Boże ruszylim na zamek, gdzie była radość z zmartwychwstania Pańskiego; wszyscy dworzanie J. Kmci i Panów, pospólnie w dolnych izbach pili i jedli, a pamiętając na uroczystość Święta Bożego, zbytku strzegli.

Boga rodzica.

(Koniec.)

Zmieniając ortografią, a pewnie i wyrazy, musiała się odmiana wkraść i do myśli, ztąd z całéj osnowy także się nic wywnioskować nie da. Tyle możnaby przyjąć, że w téj pieśni panuje uczucie melancholiczne, jakby wyciśnięte od jakiego pogańskiego i srogiego napastnika. To jest pewna, że ta pieśń była wojskową i śpiewaną przed bitwami. — Sarbiewski przełożył, albo raczéj przerobił ją na łacińskie, wybornym wierszem, początek przekładu jest taki:

Diva per latas celebrata terras
Caelibi numen genuisse partu
Mater et virgo, genialis olim
Libera noxae.
Dulce ridentem populis puellum
Prome formosis bona mater ulnis
Expiaturum populos manu de-
Mitte puellum.

Niemcewicz, który Boga rodzicę podług powszechnego podania przyjmuje za dzieło świętego Wojciecha, dodaje, że w tychże wyrazach śpiewaną bywa w Dombrowie nad Wartą, nie daleko miasta Koła, gdzie ś. Wojcierh miał probostwo. My niesądzilibyśmy, aby ś. Wojciech był tak bardzo zagoszczony w Polsce, aby miał probostwo.

Biograf Błogosławionego Bogumiła, a za nim Kwiatkiewicz Jezuita, który dokończył roczne dzieje kościelne Skargi, i wydał w Kaliszu roku 1695, powiada pod rokiem 1287, że umarł błogosławiony Bogumił z Arcybiskupa Kameduł, który będąc jeszcze dziekanem w kapitule gnieźnieńskiéj, i tam postami, modlitwami, dyscyplinami i nabożeństwem ku najświętszéj Pannie słynął, pacierze wszystkie odmówiwszy, w niedziele i święta, do wsi Dombrowy, mil piętnaście od Gniezna, cudownie był przenoszon, i tam dla ludu czekającego msze i kazania miewał. Tym sposobem Bolesław, choć nie Chrobry, ale Wstydliwy, Gniezno i Dombrowa, choć nie w świętym Wojciechu, to przynajmniéj w błogosławionym Bogumile połączyć się dadzą, i to w środku XIII. wieku, koło napadów tatarskich. Niewiemy zkąd Szafarik wpadł na datę, w któréj mogła być pisana pieśń Boga rodzica, ale przechodząc dawne pisma polskie, wspomina ją ubocznie i powiada, że za XIII. wiek i Tatarów nie przechodzi.

Wyroku ostatecznego, kiedy napisana pieśń Boga rodzica, nikt wydać nie potrafi; ale naszym obowiązkiem było powiedzieć, cośmy wiedzieli stycznego z tym przedmiotem.

O ogrodownictwie.

(Dalszy ciąg.)

Dzieje sztuki ogrodniczéj w Anglii, są zarazem najdokładniéjszą historyą nowożytnego ogrodownictwa; powolnie i stopniowo rozwijane, zdołało najtrafniéj smak Anglika wykształcić, i najpiękniéjszą barwę ich ojczyznie nadać. Wyspiarze ci często się narażając na fale morza, zewsząd po Oceanie koczują i długie spędzają chwile, zawieszeni pomiędzy przejrzystym spokojnym lazurem niebios, i mętnym a ruchomym błękitem wody. Wtenczas ich ogarnia tęsknota za ojczystą ziemią, a chociaż na dalekiéj wę-



Widok parku w Clints. *)

drówce piękniéjsze widzą kraje, z rozmiłowaniem do rodzinnéj wracają zagrody, cieszą się jéj pięknością i urocze podróży swojéj wspomnienia, powtarzają w ojczyznie. Hojne zewsząd przyrodzenie dopomaga usiłowaniom Anglika. Niespojrzy on już na niebo, na które się nocy tyle pod ekwatorem napatrzył, zakrywa mu je mgła wieczna, niby zasłona na tamte świetne piękności rzucona, aby go znaglić i oczy jego zwrócić ku téj ziemi tak żyznéj i bujno zielonéj. Zdaje się, że natura szczególnego używa przebiegu, aby ziemską jéj pięknością zadziwiony, zdobił i upiękniał jéj dzieła. Pasterz Apeninów nie spojrzy na górswych oschłą murawę, bo porywa wzrok ciemność błękitu, nic nie rozerwie marzeń zatopionych w tym widoku, chyba oczy niebianki same przechodzące nieba. Anglik zaś wcale nie wzniesie oczu na szarawe swe niebo, cieszy się więc jedynie bujną zielenią widnokręgu, i przechodząc się krętą ścieżką wśród łącznych gajów, gdy jedna piękność po drugiéj się nasuwa, on marzy, i wspomina w cieniu drzew przez dziada sadzonych, chwile znojów w walce, burzy, i niebezpieczeństwa przebyte. I dla tego też prawdziwie po ojcowsku wypielęgnował on ogrodniczą sztukę; bo tyle w niéj uciech znajduje. Dotąd kunszt ten religijnie, że tak rzekę, poważanym jest przez ludzi, którzy w dobréj wierze śledzą w biblii początków zachwycającéj swéj sztuki, i wywodzą je od opisu raju w Genezis. Zaiste Gan-Eden nieprzestał być wzorem najpiękniéjszego ogrodu; wszystko w nim było przyrodzoném i boskiém, po kwiecistych łąkach dwie rzeki toczyły spokojnie wały; drzewa owocem ciężarne, wabiły pod chłodne cienie, wszelkie żywe stworzenia, tak wdzięcznym odzywały się głosem, że człowiek w cudnym, uroczym świecie stworzony, niemogąc znieść tylu roskoszy, z przepełnionego serca radością przemówił do Boga i hołd złożył Stwórcy. Czy to szczególną Persyi okolicę, czyli też całą ziemię tak dziewiczo piękną, rajem Mojżesz nazwał, niech teolodzy rozstrzygną. W oczach namiętnego miłośnika natury cała ziemia jest rajem; on się duchem unosi do Twórcy podnoża i spogląda z góry na te potężne massy skał, wód i lądu, w tak zręcznéj równowadze stworzone; leśne i łączne widoki igrają mu jak dzieci w za-

---

*) Clints leży w północnéj części xięstwa York, 5 mil od Richemond, 48 mil od York. Gmach stoi na wzgórku, zkąd widok rozległy; rzeka Swale zdobi okolicę, a las gęsty ją okrąża.

bawie, jeden urok kryje się lub wysuwa z za drugiego, a wszędzie rodzime cuda piękności, zdroje radości najczystsze, i jakiś szczęścia powiew błogi!

Wiernie się trzymając biblijnego textu, uznamy, że raj był zaiste wielkim ogrodem, do naszych parków podobnym; i słusznie Anglicy utrzymują, że tam jest początek ich gustu i sztuki. Co w kilku słowach zakreśla Genezis, to w olbrzymim zarysie wykonał boski ich Milton. Wieszcz ten natchniony, przedwcześnie wzrok swój postradał, aby mógł lepiéj opiewać to szczęście, co minęło, ten świat roskoszy i blasku, słowem, raj swój stracony; on, który niegdyś najpiękniéjszym był z młodzian, niemiał już oglądać świata dziennego, zmiennych pór roku, wód, niebios błękitu, łąk i gajów zieleni. Stały mu w duszy odwieczne wzory stworzenia, prototypy natury; wylał je w pieniach, co żyć będą tak długo jak wiara, że syn ziemi szczęście wrodzone postradał, aby mu syn Boży krwawém odkupił je męczeństwem. Raj Miltona jest dotąd najpiękniéjszą poezyą ogrodu, jest rzeczywiście jego apoteozą.

W dawnym świecie żadnego innego śladu naturalnego ogrodu nie znajdziem chyba w Skylaxa *) opisie hesperyjkiego ogrodu, po nad pasmem Atlasu, w miéjscu skalistém i niedostępném, zkąd się tylko Herkulesowi udało trzy złociste unieść jabłka. Ogród Alkinousa, który Homer opisał, prostym był tylko sadem; a w późniéjszych czasach, nigdzie już niema wzmianki o przyrodzonych ogrodach. Ogród nawet Salomona i następców jego Ahaswera i Ahaba nie różnił się wcale od tych sztucznych ogrodów, które są dotąd po Persyi i Juda rozsiane.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak zachować długo słoninę?

Słonina, gdy jest gorzka, oprócz złego smaku, szkodliwą jest zdrowiu. Następujący sposób zachowania słoniny, jest tém użyteczniéjszy, że jest prosty i niekosztowny. Po nasoleniu słoniny przez 17 dni, bierze się skrzynia, mogąca pomieścić 3 lub 4 połcie: kładzie się na dnie warstwa siana, każdy także połeć ze wszystkich stron obściela się sianem, tak, iżby nietylko z boków, ale i między połciami znajdowały się warstwy siana. Kiedy się tak skrzynia zapełni i dobrze ugniecie, zamyka się ją i stawia w miéjscu suchém, strzegąc od myszy i szczurów. Słonina, tak zachowana, nigdy nie gorzknieje i dobry smak zatrzymuje.

*) Skylax geograf. (żył sześć wieków przed narod. Chryst.) utrzymuje, że ogród hesperydzki, który blisko Algieru, albo też przy Cyrenaice leżał, był w miéjscu skałami otoczoném, dwa stadia długiém i szerokiém. Drzewa rozmaite gęsto i nieregularnie w nim rosły; wylicza pomiędzy niemi granaty, wino, morwy, leszczynę, migdałowe i oliwkowe drzewa, wawrzyny, bluszcz i myrty, śniegówki wreście i złote jabłka, które były może pomarańczami.

Jerzy Washington.

Wybicie się na wolność z pod panowania Anglii, i ustalenie niepodległości Zjednoczonych stanów Ameryki północnéj, największy może polityczny wypadek nowożytnych czasów, lubo dokonane połączonemi siłami wielu znakomitych ludzi, było szczególnie dziełem Washingtona. I odtąd imię i sława jego zajęły miejsce w dziejach, obok największych bohaterów świata, z tym jeszcze dodatkiem, iż ich wszystkich cnotą i moralną wielkością przewyższył. Washington był dla Ameryki tym człowiekiem przeznaczenia, jakich sama niekiedy opatrzność zdaje się zsełać na ziemię dla spełnienia swoich zamiarów; i którzy tajemniczą jéj siłą natchnieni, częstokroć sami przez siebie los narodów i świata zmieniają. On jeden od początku do końca w wojnie i w pokoju był głównym wodzem całego przedsięwzięcia, i pomyślność jego zapewnił. On jeden kierował radą i siłami wszystkich swych współpracowników. Na nim jednym, jak na barkach Atlasa, polegał cały ciężar sprawy ojczystéj, wszystkie jéj trudy i odpowiedzialność za wszystko.

Urodził się Washington roku 1732 dnia 23. Lutego w prowincyi Wirginii, gdzie dziad jego, przed 60 laty z Anglii przybyły, zamieszkał, i gdzie już ojciec jego znaczny majątek w plantacyach posiadał. Młody Washington odebrawszy początkowe wychowanie w domu, pod okiem ojca, udał się na ukończenie nauk do głównéj szkoły w mieście Wiliamsburgu, będącém naówczas stolicą Wirginii. Obdarzony bystrem pojęciem, a nadewszystko wytrwałym w pracy umysłem, chlubnie się między współuczniami odznaczał, w matematyce zwłaszcza celując. Po ukończeniu nauk, osiadł w dobrach swych na wsi, i całkiem się gospodarstwu poświęcił. Każda naówczas prowincya amerykańska miała swoję oddzielną milicyą, nakształt gwardyi narodowéj, do któréj wraz ze wszystkimi współobywatelami i młody Washington należał. To była pierwsza jego szkoła wojenna; to jednak samo przyczyniło się znacznie do rozwinienia w nim wrodzonego talentu wodza, który wkrótce znalazł sposobność okazać. Przed rewolucyą amerykańską, Francuzi mający także posiadłości swe w téj części świata, nad brzegiem rzeki Ohio, toczyli o niemałe, lecz ustawiczne wojny z Anglikami, uważającymi cały ten kraj za wyłączną swą własność. W jednéj z tych wojen w roku 1752, milicya wirgińska otrzymała rozkaz wystąpienia do boju. Dwudziestoletni naówczas Washington mając powierzone sobie dowództwo oddziału strzelców i ochotników, tak się chlubnie w ciągu wyprawy odznaczył, iż równie naczelnicy angielscy jak

właśni współobywatele, przyznali mu imię i sławę najlepszego wodza partyzanckiéj wojny. Naczelny wódz Anglików, generał Brandon mianował go półkownikiem, i przybocznym swym adjutantem. Lecz Washington, pomimo tak wielkiego wojennego talentu, nie miał bynajmniéj upodobania w życiu wojskowém, różny w tém od wszystkich wielkich wojowników z dawnych i nowych czasów. Jakoż, skoro się wojna z Francuzami skończyła, złożył powierzone sobie dowództwo i obowiązki adjutanta, i wrócił do ulubionych gospodarskich zatrudnień; i ożeniwszy się wkrótce, żył spokojnie w wiejskiéj zaciszy, pracom tylko około roli i naukom oddany.

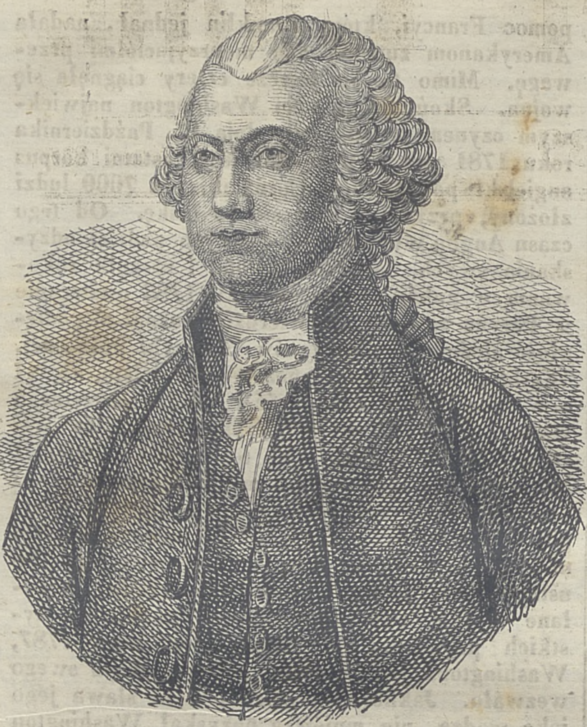
Gdy w roku 1773 nieporozumienia między Anglią, a koloniami amerykańskiemi, od wielu już lat trwające, w otwartą wybuchnęły nieprzyjaźń, Washington liczył już naówczas 41 rok życia, tyle właśnie, co Cromwell przy początku rewolucyi angielskiéj. Lecz ani wiek, ani nawyknienie do wygód spokojnego życia, ani nakoniec bojaźń niebezpieczeństwa ze strony angielskiego rządu, na które i osobistość i majętność swoję narażał, nie przemogły ani na chwilę w duszy jego nad miłością sprawiedliwości i rodzinnego kraju. Jeden z najpierwszych w prowincyi swojéj oświadczył się za sprawą uciśnionych kolonij, i uzbroiwszy własnym kosztem znaczną część milicyi wirgińskiéj, sam jéj wodzem obrany został. Karność i porządek, który w niéj zaprowadził i utrzymać umiał, zwróciły na niego baczność innych prowincyi, i powszechny mu zjednały szacunek, tak, że gdy nakoniec w 1775 roku przyszło odpierać orężem zbrojne napaści Anglików, a kongres amerykańskich stanów, zebrany w Filadelfii, uchwalił utworzenie stałego wojska, jednogłośny okrzyk wszystkich członków, Jerzego Washingtona naczelnym wodzem mianował.

Lecz w téj właśnie chwili, gdy go szacunek współziomków na tak wysoki stopień wynosił, sprawa, któréj miał bronić, w najkrytyczniéjszym znajdowała się stanie; i byłaby może upadła, gdyby nie czujność, zabiegi, a nadewszystko nie zachwiana moc duszy Washingtona. Kongres mianował wodza; lecz wodzowi za najpierwszy obowiązek polecono, utworzyć wojsko, któremu miał przywodzić, a którego jeszcze nie było. Mieli wprawdzie Amerykanie spisanych około 15000 ludzi; lecz byli to sami prawie ochotnicy, na kilka ledwo miesięcy umówieni, oderwani wprost od rzemiósł lub roli, bez żadnych poprzednich wyobrażeń o wojskowości i wojnie. Z nich to dopiero Washington miał wykształcić żołnierzy. Lecz sami tylko żołnierze, choćby najlepsi i najwyćwiczeńsi, nie stanowią jeszcze dobrego wojska. Wojsko potrzebuje wodzów, potrzebuje odzienia, pieniędzy, a nadewszystko żywności i broni; na wszystkiém tém Amerykanom zbywało, gdy Washington obejmował dowództwo. Rewolucyjny stan kraju z niepewnym jeszcze i nieustalonym rządem; nagłe i gwałtowne wstrząśnienie wszystkich części dawnego porządku rzeczy, a ztąd wynikający wszędzie nieład i zamięszanie podwajały przykrość położenia wojska i wodza, i utrudniały zaradzenie złemu. W jednym z listów swoich, we trzy miesiące po objęciu dowództwa do kongressu pisanym, który to list nie podczas trwania wojny, lecz dopiero po jéj ukończeniu publicznie ogłoszonym został, sam Washington tak się wyraża: „Położenie moje jest jedno z najtrudniéjszych. Zima się zbliża, a żołnierze w pół nadzy i bosi. Za kilka tygodni upływa termin ich służby, a nie otrzymawszy dotąd zaległego żołdu, nie chcą się zaciągać na dłużéj. Magazyny stoją próżne, a raczéj żadnych nie mamy. Zapas prochu i broni przy schyłku. Płatnik nie ma już w ręku ani jednego dolara; a komissoryat generalny oświadcza, że już kredytu swego na zasilenie wojska nadużył; tymczasem większa część wojska nie jest daleka od buntu, z powodu zmniéjszenia umówionéj z początku płacy, zwłaszcza, gdy i téj jeszcze oczekuje daremnie.“ W takim stanie rzeczy, gdyby naczelny wódz Amerykanów był pospolitym człowiekiem, upadłby koniecznie na sercu, a z nim i sprawa ojczyzny; albo przynajmniéj, nie upatrując nadziei zwycięztwa, a bojąc się o własną tylko sławę i odpowiedzialność, nie byłby przyjął niebezpiecznego zaszczytu. Lecz wielka dusza i gieniusz Washingtona zdawały się wzrastać w miarę przeszkód, z jakiemi miał do walczenia, i nakoniec je wszystkie przemogły. Nie od razu jednakże złe naprawić się dało; porządek i obfitość powracały powoli; gdy tymczasem cierpliwość i wytrwałość Washingtona, przez najtwardze przechodziły próby. Nie czując się w stanie zaczepnego działania, całą zimę w nieczynności przepędził, znosząc w pokorném milczeniu nie tylko ostre napomnienia kongressu, lecz nawet krzywdzące posądzenia narodu, i szemrania wojska, którego trzecia część, po upływie terminu służby, sprzykrzywszy sobie nieczynność i niedostatek, rozeszła się do domów. Washington nieusprawiedliwiał się przed nikim, woląc raczéj przyjąć na siebie czasowo pozór winy, niż wyjawieniem rzeczywistych przyczyn postępowania swojego, odbierać otuchę ziomkom, a nieprzyjaciół ośmielać. Jakoż wkrótce szlachetny jego charakter, gorliwe poświęcenie się, i w każdym postępku jawna bezinteressowność, uśpiły niesprawiedliwe obawy, i tak w kongressie, jak w narodzie i w wojsku, ogólną dlań miłość i zaufanie zjednały.

Nie wchodząc w szczegółowe opisanie dzieł jego wojennych, to tylko w ogólności powiemy, iż gieniusz jego i wielki charakter, okazywał się, nie tak w śmiałych przedsięwzięciach lub świetnych a nieprzerwanych zwycięztwach, jako raczéj w owéj niezachwianéj niczém stałości i odwadze, które mu w największych przeciwno-

ściach nie dały nigdy rozpaczać o pomyślnym skutku swéj sprawy, którą za sprawiedliwą i za świętą uważał. Na początku roku 1776 zebrawszy i urządziwszy nowe wojsko, w czém mu gorliwe starania Franklina, jednego z kommissarzy wojennych, wyznaczonych przez kongress, największą były pomocą; Washington uderzył na miasto Boston, i zdobył je, poraziwszy angielską osadę. Pierwsze to zwycięstwo Amerykanów zaćmiły wkrótce poniesione nawzajem i szybko po sobie następujące klęski. W Sierpniu tegoż roku, Washington, wyparty z Long-Island, gdzie się był oszańcował, cofnął się do Nowego-Yorku; lecz i tu długo utrzymać się nie mógł. Po największych jego usiłowaniach obrony, miasto to wpadło w ręce Anglików. Washington zmuszony ustępować z miejsca na miejsce przed ścigającym nieprzyjacielem, cofnął się naprzód za rzekę Hudson, potém przez całą prowincyą Jersey, aż nad brzeg rzeki Delawary. W tym to właśnie odwrocie Washington okazał się największym wodzem, gdy pomimo wszelkich usiłowań angielskiego generała, umiał uniknąć z nim bitwy, i przez to kraj swój i wojsko od ostatecznéj klęski ocalił. Ztémwszystkiem, z całego wojska nie zostało mu więcéj przy końcu, nad trzy tysiące ludzi. Sam kongress z Filadelfii schronić się musiał do Baltimory; a przerażony postępem nieprzyjaciela naród, wszelki zapał i nadzieję utracił.

Washington jeden nie upadał na sercu; przykład wodza ożywiał wojsko. Wciągnąwszy nieprzyjaciela w głąb kraju, czekał tylko sposobnéj pory, by znów szalę zwycięztwa na swoję stronę przeważyć. Pora ta nadeszła wkrótce. Udając, że się w miejscu ostać nie może, przeszedł na drugi brzeg Delawary. Było to ku końcowi Grudnia 1776 roku. Ośmieleni Anglicy czekali tylko, aż rzeka zamarznie, by w dalszą za nim iść pogoń; gdy nagle w wilią Bożego narodzenia, Washington przeprawiwszy się w nocy przez rzekę, napadł niespodzianie na dywizyą angielską, stojącą pod Trenton, i całą zabrał w niewolą. Korzystając z pierwszego popłochu, d. 28. tegoż miesiąca, uderzył na inny oddział wojsk nieprzyjacielskich, nie daleko miasta Princetown, i do szczętu rozproszył. Oba te zwycięztwa tę mianowicie przyniosły korzyść, że obudziły energią narodu. Odtąd też los wojny przechylił się stanowczo na stronę Amerykanów. Gdyż lubo w następnym roku wojska angielskie pod wodzą Lorda Cornwallis, opanowały Filadelfią, zdobycz ta niezdała się im na nic. Cały kraj wziął się do broni; tłumy ochotników cisnęły się do regularnego wojska. Cornwallis oblężony przez Washingtona, z Filadelfii ruszyć się nie mógł; gdy tymczasem generał Bourgoyne, z połową angielskiego wojska do północnych prowincyi posłany, otoczony od nieprzyjaciół, pod dowództwem generała Gates, z całém wojskiem broń złożyć musiał. Wkrótce otwarta pomoc Francyi, którą Franklin jednał, nadała Amerykanom zupełną nad nieprzyjaciółmi przewagę. Mimo to lat jeszcze cztery ciągnęła się wojna. Skończył ją sam Washington największym czynem swoim, gdy dnia 17. Października roku 1781 pod Nowym-Yorkiem, ostatni korpus angielski pod Lordem Cornwallis, z 7000 ludzi złożony, przymusił zdać się na łaskę. Od tego czasu Anglia wyrzekła się dalszych nadziei odzyskania swych dawnych kolonii i zaczęła rokowania o pokój, który w roku 1783 ostatecznie w Paryżu zawarty, potwierdził i uznał niepodległość zjednoczonych stanów Ameryki północnéj. Washington widząc skończone swe dzieło, złożył sam dobrowolnie dostojność i władzę naczelnego wodza, i wrócił do rólniczego życia, do wsi swojéj Mount-Vernon. W téj ustroni przepędził lat kilka, otoczony czcią i miłością ziomków, od których żadnéj innéj niewymagał nagrody. Lecz, gdy wkrótce wewnętrzne zamieszki nowego, a raczéj nowych krajów, wykazały konieczną potrzebę ustanowienia jednego centralnego rządu; zwołane w tym celu zgromadzenie posłów wszystkich prowincyj do Filadelfii w roku 1787, Washingtona jednomyślnie na prezydenta swego wezwało. Jakkolwiek wielką była sława jego jako wodza, nie mniéjszą pozyskał Washington w nowéj roli prawodawcy i pierwszego rządcy kraju, który sam z niewoli wybawił. Pod jego to przewodnictwem stanęła istniejąca dotąd konstytucya zjednoczonych stanów, najdoskonalsza pod względem stósowności do potrzeb i do położenia tych krajów; i gdy w skutek jéj postanowień, nowy kongress w roku 1789 zwołano, nikt nie śmiał nawet ubiegać się o miejsce prezydenta, które bez ubiegania się jego jedno-zgodnie Washingtonowi na lat cztery oddano. W roku następnym, gdy potrzeba wspólnéj stolicy rządu coraz bardziéj czuć się dawała, założonemu w tym celu miastu, wdzięczność narodowa imię Washingtona nadała. Rządy jego, jako prezydenta zjednoczonych stanów, odznaczały się tąż samą gorliwością w pracy i w poświęcaniu się dla kraju; tąż samą wytrwałością i mocą duszy, którym jako wódz wielkość swoję był winien, a które niestety! w nowym jego zawodzie na niemniéj trudne próby często wystawiane były. Gdy po upływie pierwszych lat czterech, na następujące także prezydentem obrany został, ciągłość ta władzy, połączona z miłością i powagą u ludu, obudziła w niektórych obawę, aby nie zapragnął na zawsze sobie najwyższéj władzy przywłaszczyć. Podejrzenie to, jakkolwiek bezzasadne, dotknęło boleśnie duszę Washingtona. Ledwo więc ostatni rok urzędu jego upłynął, głuchy na prośby kongressu i kraju, oświadczył, iż go nadal nie przyjmie; i w sławnym swym adressie pożegnania, zostawiwszy współziomkom najmędrsze rady, jak nadal rządzić się mają, wrócił poraz ostatni do swéj lubéj wioski; unosząc z sobą żal i błogosławieństwo ogólne. Ale nie-



Jerzy Washington.

długo pozwoliło mu niebo cieszyć się swobodą życia. Umarł Washington dnia 14 Grudnia 1799, cztery lata po złożeniu dostojności prezydenta. Możnaby rzec, że kończący się wiek 18-y niechciał zostawić za sobą największego swego człowieka. X.

Edward.

Ballada *) (z staro-szkockiego).

Czemuż twój oręż cały krwią oblany
Edwardzie, Edwardzie?
Czemuż twój oręż cały krwią oblany,
Czemuś smutny, zadumany. O!

O ja zabiłem mojego sokoła
Matko, matko moja;
O ja zabiłem mojego sokoła
Żaden mu, zrównać nie zdoła. O!

Lecz krew sokołów nie jest tak czerwona,
Edwardzie, Edwardzie;
Lecz krew sokołów nie jest tak czerwona,
Powiedz, z kogo wytoczona. O!

O ja zadałem śmierć memu koniowi,
Matko, matko moja;
O ja zadałem śmierć memu koniowi,
Poczciwemu cisakowi. O!

Koń twój był stary, jużeś go porzucił
Edwardzie, Edwardzie!
Koń twój był stary, jużeś go porzucił
Nie on to ciebie zasmucił. O!

O ja zadałem śmierć ojcu drogiemu,
Matko, matko moja,
O! ja zadałem śmierć ojcu drogiemu;
Biada, biada sercu memu. O!

I jakąż sobie pokutę nakażesz,
Edwardzie, Edwardzie!
I jakąż sobie pokutę nakażesz
Czemże synu winę zmażesz. O!

Opuszczę ziemię i na okręt wsiędę,
Matko, matko moja;
Opuszczę ziemię i na okręt wsiędę,
Po morzach tułać się będę. O!

A cóż z twym zamkiem, z wieżami się stanie,
Edwardzie, Edwardzie!
A cóż z twym zamkiem, z wieżami się stanie,
Z takąś dumą patrzył na nie. O!

O niech się walą, niechaj w proch obrócą,
Matko, matko moja;
O niech się walą, niechaj w proch obrócą,
Moje tam nogi nie wrócą. O!

Cóż z żoną, z dziećmi stanie się w téj porze,
Edwardzie, Edwardzie;
Cóż z żoną, z dziećmi stanie się w téj porze,
Gdy ty popłyniesz na morze. O!

Świat jest szeroki, niech żebrzą i płaczą,
Matko, matko moja!
Świat jest szeroki, niech żebrzą i płaczą,
Mnie już nigdy nie zobaczą. O!

A drogą matkę, gdy syna pozbawisz,
Edwardzie, Edwardzie!
A drogą matkę, gdy syna pozbawisz,
Powiedz, cóż jéj pozostawisz. O!

Klątwy ci z piekłem zostawi zabójca,
Matko, matko moja!
Klątwy ci z piekłem zostawi zabójca,
Bo z twéj rady zabił ojca. O!

F. M.

*) Ballada ta jeśli nie jest pierwszą, to przynajmniéj do najstarszych na północy należy. Znawca prawdziwy wiele w niéj dramatyczności i sztuki dostrzeże; każdemu zaś miło może będzie porównać jéj prostotę z nowemi tego rodzaju tworami. W Anglii i w Niemczech muzykę do niéj dorobiono, którój charakter zarazem jest smętny i przerażający.

Kubek i kostki.

Tłukąc się biedne kości godzin kilkanaście
Cieszyły się niezmiernie, gdy padło — dwanaście;
I cóż wam z tego przyjdzie? kubek się odzywa,
Wy się głupie tłuczecie, a sam gracz wygrywa.

F. M.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)